

Elius przyspieszył kroku zbliżając się do budynku Towarzystwa Czarnoksięskiego, górującego nad dzielnicą czarodziejów. Po raz pierwszy został wybrany do komitetu organizującego doroczny bal karnawałowy, ściągający do ich miasta przybyszy z całej krainy, a o mało nie był spóźniony. Wspinał się po schodach przeskakując co drugi stopień i z trudem łapał powietrze w płuca. Przemknął przez zwieńczony łukowatą archiwoltą portal, długimi krokami przemierzył korytarz, schylając głowę ku popiersiom dawnych mistrzyń i mistrzów, aż w końcu stanął przed drzwiami do pomieszczenia, w którym odbywało się spotkanie. Wyciągnął już rękę w kierunku klamki, lecz zawahał się na chwilę. Odetchnął głęboko i szybko poprawił włosy, po czym cichutko wśliznął się do środka.

Wewnątrz czekała już pozostała trójka, dużo bardziej doświadczonych od niego członków komitetu. Pokój był niewielki, a unoszące się wokół nich naczynia – tace z ciastami, owocowe salaterki, kielichy i dzbanki wypełnione lokalnymi trunkami – sprawiały, że zdawał się on jeszcze mniejszy. Zajął pośpiesznie swoje miejsce przy prostokątnym stole, kłaniając się oficjalnie każdemu z nich z osobna.

– Eliusie, jak miło, że jesteś. – Anelize, wieloletnia przewodnicząca komitetu uśmiechnęła się do niego ciepło, uwydatniając kurze łapki w kącikach jasnych oczu. – W takim razie chyba możemy powoli zaczynać?

Spojrzała na Cezarię, siedzącą naprzeciwko niej czarnowłosą czarownicę o ascetycznym stroju i surowej twarzy, co zręcznie ukrywało, iż była tylko niewiele starsza od Eliusa.

– Zdecydowanie. Zostało nam już bardzo niewiele czasu. – stwierdziła, a chłopak musiał wbić wzrok w rozłożone przed nim notatki, by ukryć swoją konsternację. Poprzedni bal, odbył się ledwo kilka tygodni temu, więc na przygotowania do kolejnego wydarzenia pozostało im jeszcze wiele miesięcy. Przemknęło mu przez myśl, że czarownica może żartować, ale na jej twarzy nie dostrzegł ani cienia uśmiechu.

Szczerzył się za to siedzący między dwoma kobietami przysadzisty Hartac, który gładził wierzchem dłoni swoją wypielęgnowaną brodę i lustrował go od góry do dołu, jak gdyby samym spojrzeniem, chciał odgadnąć jakim typem czarodzieja jest Elius.

– Myślę, że aby tradycji stało się zadość powinniśmy dać chłopakowi jako pierwszemu zabrać głos. – powiedział mężczyzna odchyliwszy się w krześle, którego oparcie przerastało o głowę i przyzwał do siebie srebrny kielich, a magiczny dzban nappełnił go zaraz karminowym trunkiem.

Anelize skinęła głową w kierunku Eliusa i zachęciła go lekkim gestem dłoni.

– Odwagi! Służymy radą i naszym, nie już tak skromnym, doświadczeniem.

Posłała mu kolejny ze swoich dobrotliwych uśmiechów starszej pani, a on nie wiedząc co uczynić skłonił się sztywno.

– Dziękuję bardzo za miłe słowa i ciepłe przyjęcie. – zaczął, czując jak głos mu drży.

– Podchodzę do tego zadania z najwyższą powagą, a mój brak doświadczenia będę nadrabiał pełnym zaangażowaniem. – Spojrzał nerwowo na resztę, a gdy dojrzał iskrę znudzenia w ich oczach, szybko postanowił przejść do konkretów. – Zacznę dzisiaj od tematu oświetlenia.

Szelest przekładanych stronnic utonął w głośnym świcie wsysanego w zaskoczeniu powietrza.

– Trudny temat sobie wzięłeś na początek. – stwierdził Hartac, a głupkowaty uśmiech, który dotąd nie opuszczał jego twarzy, zniknął pośród równo przyciętego zarostu policzków.

– Daj chłopakowi mówić. – skarciła go lekko Anelize. – Proszę, kontynuuj. – dodała, zwracając się do Eliusa.

Słowa Hartaca dodały mu nieco pewności siebie. To był trudny temat? Może dla mniej zdolnego maga, lecz nie dla niego. Wyprostował się w krześle i przybrał minę jaką zwykle oferował swoim rówieśnikom – pełną wyższości z nutką politowania.

– Opierając się na liczbach z archiwum i wymiarach sali balowej obliczyłem, że będziemy potrzebować około trzysta chochlikowych latarni, aby uzyskać ten przyjemny, półcienisty efekt świetlny. Wiadomo, że młode chochliki są lepsze, bo dają nieco cieplejszą poświatę, ale z uwagi na cenę, możemy się ograniczyć do...

– Eliusie, pozwól, że ci przerwę. – głos przewodniczącej zabrzmiał jak bicz.

Podniósł głowę znad notatek i dopiero wtedy zobaczył nietęgę minę pozostałych. Powiedział coś nie tak? Poczuł jak czerwienieje aż po czubki uszu. Z trudem przełknął ślinę i zwrócił się do Anelize.

– Tak?

– Nie stosujemy już chochlikowych latarni. Co najmniej od dwóch dekad.

– Nie? – była to dla niego całkowita nowość. Na północy krainy, skąd pochodził, chochlikowe oświetlenie było szczytem mody i elegancji. Sądził, że tutaj w mieście jest podobnie.

– Nie. – głos Cezarii sprawił, że jego głowa odbiła się w drugą stronę jak piłeczka. – Uważamy, że to nieetyczne.

– Część z nas uważa! – wykrzyknął Hartac. – Mnie w to nie wplątuj.

Skinęła głową.

– To prawda. Grunt, że używamy zwykłe świec.

– Świec? – Elius nie mógł w to uwierzyć. – Jak jacyś ludzie? – ostatnie słowo wypowiedział ze wstrętem i skrzywił się brzydko. – Chochlikowe latarnie stosowane są przez czarodziejów od wieków, dlaczego nagle jest to nieetyczne? Gdyby takie użycie nie było ich przeznaczeniem, to z jakiego innego powodu by tak ładnie świeciły.

– Cóż, zdaje się, że jasna poświata, którą dzisiaj znamy, jest raczej wynikiem wielopokoleniowego doboru i eliminacji odpowiednich osobników, niż naturalną cechą chochlików. – stwierdziła Anelize ze spokojem nauczycielki.

– Poza tym – włączyła się Cezaria. – młode chochliczątka zabierane są od matek często w zbyt młodym wieku, co zostawia na ich psychice głęboką ranę. Następnie przebywanie godzinami w klatkach...

– A ta znowu głupoty o chochliczej psychice. – Hartac trzasnął kielichem o blat i nachylił się w kierunku czarownicy. – To są zwykłe wróżki! Świecą i robią psoty, nie ma co więcej im przypisywać.

Cezaria uniosła rękę i zamknęła oczy, z trudem panując nad emocjami.

– Nie wracajmy znowu do tej rozmowy. – Stwierdziła ledwie szeptem. – Zastępujemy chochliki świecami. Koniec, kropka.

– Dobrze. – przytknął Elius pospiesznie, by uniknąć dalszej eskalacji. – Będę musiał przeliczyć ich ilość, ale jest to drugorzędna kwestia. – spojrzał z ukosa na Cezarię, lecz ta nic już nie dodała, więc kontynuował. – Jeśli chodzi o typ świecy, to aby uzyskać podobny efekt ciepłego poblasku, proponuję воск z Mariphasa lupina.

– Nie zgadzam się! – wrzasnął Hartac, sprawiając, że Elius podskoczył w miejscu. – Wdychanie oparów tej rośliny ma opłakane skutki dla zdrowia. Można od tego wyłysieć. – czarodziej nerwowo zaczesał niesforny pukiel za ucho.

– Mariphasa to świetna alternatywa dla chochlików. – potwierdziła Anelize i oparła dłoń na barku Eliusa, by dodać mu otuchy, po czym spojrzała ponownie na Hartaca. – Gdzie słyszałeś takie rewelacje?

– U różnych źródeł. – odparł mężczyzna lakonicznie.

– Poza tym nadmierna uprawa tej rośliny prowadzi do wycinania Sennego Lasu. – dodała Cezaria i Elius niemal czknął zaskoczony, że zgadza się ona z Hartaciem.

Wrażenie dysonansu nie trwało jednak długo.

– A dlaczego miałyby to być problem? – brodaty mag uniósł się nieco w siedzeniu. – Wiesz, ilu krasnoludów znalazło pracę przy tych robotach? Ty to byś ich wszystkich pewnie wysłała do kopalni, rasistko.

– Słucham?! – oczy Cezarii niemal wyszły z orbit. – Niekontrolowane wylesianie prowadzi do zdziśiatkowania populacji rusalek. A dodatkowo jest to obszar zamieszkiwany przez driady. Wiesz co robią driady, kiedy brakuje im drzew? Szukają nowych. I wchodzą na terytorium elfów. Nie możemy ignorować tego, co się dzieje na granicy Sennego Lasu i Złotej Kniei. Królowa Erithel co prawda ogłasza, że przyjmie wszystkich, którzy będą szukać u niej schronienia, ale jej poddani nie podzielają tej gościnności. Elfowie boją się obcych, a driady w nowym otoczeniu są nerwowe i nieprzewidywalne. Dochodziło już do ataków z obu stron. Więc wybaczyć, że moje serce nie krwawi, gdy jakiś krasnolud, zamiast machać siekierką, pomacha trochę kilofem.

– Niewybaczalne. – sapnął Hartac i zaraz uchylił się, padając niemal na podłogę, gdyż Cezaria posłała w jego kierunku misę z owocami.

Skonsternowany Elius spojrzał na Anelize, która zaśmiała się perliście i klasnęła dwa razy w dłonie.

– Kochani, proszę. Zachowajmy przynajmniej pozory kultury. – Prostym czarem zebrała rozrzucone na stole i podłodze winogrona. – Świece z Mariphasa Lupina wykluczamy w każdym przypadku.

Hartac wrócił na swoje miejsce, lecz odsunął krzesło jak najdalej od Cezarii, która śledziła jego ruchy wężowatym wzrokiem, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– No tak. – odchrząknął Elius. – Może w takim razie zostaniemy przy klasycznym wosku, ale za to zamówimy knoty z wodorostów. Nie widziałem tego osobiście, ale słyszałem, że niektóre luminogłony... – każde słowo wypowiadał coraz wolniej, aż zamilkły, gdyż Cezaria już kręciła zawzięcie głową.

– W sieci stosowane przy wyławianiu wodorostów wplątują się nimfy i wodniki. Często rybacy nie zauważają tych stworzeń pośród glonów, a ich obecność wychodzi na jaw dopiero po wielodniowym procesie suszenia, gdy ich pomarszczone zwłoki...

– Bez szczegółów! – jęknęła Anelize zasłaniając sobie uszy. – Błagam, wystarczy.

– To bez znaczenia, bo najgorsze jest to, że fragmenty zniszczonych sieci zostawiane są w oceanie, gdzie zjadają je przypadkowo lewiatany czy kelpie. Nie muszę chyba tłumaczyć, że ma to katastrofalny wpływ na ich zdrowie i płodność.

Przewodnicząca mlasnęła językiem.

– Zdaje się, że temat świec jest bardzo kontrowersyjny. – Zaczęła wybijać palcami rytm, uderzając kolejno opuszkami w blat stołu. – Hmm, może zamiast nich użyć błyszczących skał jak Glou z Tone. Tamtejsze kopalnie należą do krasnoludów, więc przynajmniej ty powinienes być zachwycony, Hartacu.

Czarodziej upił kilka łyków z kielicha, nim odpowiedział.

– Może, ale tam już krasnoluda nie uświadczysz. Gobliny przejęły ich rzemiosło. – W jego głosie pęczniała gorycz. – Pracują taniej, dłużej, a gdy jakiś zginie w podziemiach, to nikt ich nawet nie szuka. Swoje rodziny zostawili daleko na wschodzie, gdzie czekają na powrót ojca czy matki z kilkoma złotymi monetami. – Opróżnił srebrne naczynie jednym haustem. – Ten świat schodzi na gremliny.

– W porządku, ale to chyba jeszcze nie powód, żeby rezygnować z ich usług? – zauważyła Cezaria.

– Pochodzę z okolic Tone i nigdy nie zgodzę się na sprowadzanie skał stamtąd. – Sposób, w jaki Elius wypowiedział to zdanie, był tak stanowczy, że wszyscy od razu wlepili w niego spojrzenia pełne zaskoczenia i podziwu. – Zbyt obszerna eksploracja złóż prowadzi do osuwania się gleby. Patrzyłem, jak wielka rozpadlina pojawiła się znikąd i pochłonęła pobliską wieś. Nikt nie przeżył.

– Nigdy o tym nie słyszałam. – stwierdziła Anelize ze zboląłą miną, przyciskając dłoń do piersi.

– Pewnie, że nie. – prychnął Elius. – Mało kto o tym mówi.

– Ale o czym to mówić? – Hartac nie był ani trochę pod wrażeniem. – Chyba tylko o głupocie ludzkiej. Przecież mogli się stamtąd wynieść, skoro było wiadomo, że kopią im pod nosem.

– Wynieść? – warknął chłopak. – Gdzie? A przede wszystkim jak? Cały dobytek mając w jednym miejscu, ledwie będąc w stanie wyżywić rodzinę. Kamienie Glou nie wchodzą w grę. – Zakończył z naciskiem.

Zapadła cisza przerywana tylko miarowym uderzeniem placów Anelize o blat.

– Czyżby skończyły nam się opcje? – westchnęła Cezaria, jak gdyby to nie ona blokowała niemal każdy pomysł.

– Jest jeszcze jedno rozwiązanie, o którym nie pomyśleliśmy. – powiedział wolno Elius, nie będąc pewnym, czy to, co zaraz powie, nie jest absolutną głupotą. – Moglibyśmy zorganizować bal w ciągu dnia. Wtedy oświetlenie będzie zbędne.

Gdy ostatnia głoska opuściła jego krtań, nic czasu zatrzymała się nagle. Pędząca bez wytchnienia przyszłość szarpnęła obecną chwilę i napięła strukturę kolei rzeczy jak strunę. Pełne napięcia drzenie wydobyło rezonujące dźwięki niesione po powierzchni wszechrzeczy. I kiedy czas znów ruszył na przód, nic nie było już takie same.